

KAZIMIERZ ANDRZEJ CZYŻOWSKI.

SZEŚĆ GODZIN

13

Powieść.

Zamieszkał tedy dziki Daniel w przekleję i omijanej przez ludzi leśniczówce i począł zbierać się w sobie do walki.

Fatum jego doszło do szczytu. I teraz albo musiało zniszczyć go zupełnie, albo dać się poddać jego siłom, złamać jego rękami.

Zamieszkał dziki Daniel w dzikiej leśniczówce i skupiał się w sobie nocami, a dniami począł zbierać legendy i bajki, przekleństwa i groze nagromadzone dokoła niego. Począł poznawać i obejmować życie tej wsi i tej puszczy, z której był wygnanym.

Nie chciał się poddać tak łatwo. Musiał najpierw dowiedzieć się napewno, czy wszystko już stracone.

Ludzie spokojnie orali i siali, pan Wilhelm Szporn spokojnie rządził swym państwem, a tymczasem w leśniczówce coraz więcej gromadziło się przeszłego życia, żądającego porachunku i oczyszczenia.

W krótkie noce majowe przy stole siadywał dziki Daniel z pobludnymi w dalekiej pamięci widmami jasnej pani i jasnego człowieka i radził.

I coraz żywsze stawały się widma Anny i Piotra, i coraz żywiej radzono, bo czasu mogło nie starczyć, bo szybko trzeba było decydować się i przystąpić do walki.

Sprawę Szporna, tą ludzką sprawę, postanowili zostawić ludzkiej sprawiedliwości.

A głównie radzili nad Marją. Z zebranych wiadomości dowiedział się Daniel, że serce jego nie omyliło się, że obraz w nim stworzony tęsknotą do miłości, prawdziwym był.

Raz Marję ujrzał z daleka, jak kwiaty słała w ogródku, a wiele usłyszał od niej. Wiedział, że jest nieszczęśliwą, że i ona nie uniknęła szpon Szporna, że i jej życie w jego rękach łamało się i konało.

I urządzili, by za wszelką cenę wyzwolić ją, a miał to Daniel przy ich pomocy uczynić.

* * *

Zebrał wtedy Daniel wszystkie dokumenty i poszedł do dworu swego siwuteńkiego, umarłego ojca, którego prawdziwy testament nosił na piersiach wraz z ostatnim listem.

I zakradł się Daniel jednej nocy do pokoju swego dawnego, z którego żandarmi kiedyś go wyprowadzili. W pokoju tym nie mieszkał już nikt, a tylko w szafce przy ścianie, pan Szporn fałszywe swe papiery chował.

(Pani powoli usiadła na kanapce i rękoma przytrzymując łomoczące z sił całych oszalałe serce, szerokiemi oczyma wpatrywała się w obcego coraz głębiej. — A obcy ustępując jej miejsca powstał powoli z krzeselka i cofając się, mówił dalej, oczyma swemi pociemniałymi wewnętrznym żarem, pomagając słowem).

I tej nocy zabrał Daniel kusemu człowiekowi fałszywe papiery, które później przy świeczce w leśniczówce dokładnie przeglądał.

Ktoś go podpatrzył i zdradził. Kusy człowieczek więc wpadł w szafę i zgonił chłopów z okolicznych wsi i postanowił raz na zawsze zniszczyć, zabić dzikiego Daniela.

(Obcy podszedł do okna i podniósł storę. Daleka luna przygasła już zwolna, tłumiona szarym, ledwo co poczętym mrokiem świtu. O cy rękę wyciągnął i wskazał na lunę, jako świadectwo swych słów.

Pani posłusznie poddawała się jego słowom i giestem i rękoma wciąż serce przytrzymując, patrzyła w stronę luno, najsmutniejsze i, choć jakby uśpionymi oczyma).

VII.

Szary mrok świtu coraz bardziej gasił i tłumiał czerwoność luno. Z chwili na chwilę malała, jaśniała, wsiąkała w dół, w zamglone wierzchy lasu.

Stali obok siebie i czując to doskonale, spoglądali jakoby za umową, w malejącą lunę.

Przez otwarte okno do pokoju wiało świeże, rażne powietrze.

Po długiej przerwie nocnej, tu i tam zaświegał jakiś ptak, próbując głosu na ten nowy dzień.

Nie mówili nic do siebie. Patrzali i słuchali, może ważyli to, co jeszcze tej uciekającej nocy ma się stać.

W pewnej chwili on głowę zwrócił ku niej i popatrzał na nią niezmiennie dobrymi oczyma.

Odczuła wzrok jego. Już, już otworzyła usta, by coś powiedzieć, już się ku niemu nachyliła, gdy nagle za drzwiami zatupały szybkie kroki i prawie równocześnie do pokoju wszedł szybko Wojciech i rzucił zziębnięte słowa:

— Paniczu Danielu! Uciekaj! — Wracają już z pod leśniczówki! Pewnie spostrzegli się i cię tu idą szukać!

Stała się. — Pani z nawpół otwartymi ustami, na których zawisły przed chwilą niewypowiedziane słowa, cofnęła się o krok.

... — „paniczu Danielu... więc...”

— Tak Marjo, ja jestem dziki Daniel.

Zdumiony Wojciech patrzył to na jedno to na drugie.

— Jakto? — To pani nic o tem nie wiedziała? O Boże! Com ja zrobił dobrego!

— Nic złego nie stało się Wojciechu.

— Więc to pan, pan...

— Tak, ja. — Ja jestem tym dzikim, ściganym Daniłem.

— Ależ on tam, w leśniczówce... Sam pan mówił...

— Byłem tam i pokazałem się im, aby ich przetrzymać na czas potrzebny mi do uratowania ciebie Marjo. Zwiodłem ich świecami i cieniami. Zabarykadowałem drzwi, aby musieli dom zdobywać, a potem, gdy chaos szalał i noc zbałamuciała ich dostatecznie, uciekłem podziemnym wejściem, którego na szczęście nikt z nich nie zna.

Ale Wojciech nie mógł zrozumieć tego spokojnego opowiadania, wobec grozy wiadomości, z jaką tu przybył.

— Paniczu, nie czas teraz na opowiadania. Oni pewnie odkryli twój podstęp, bo idą tu. Chciałem zobaczyć co tam się dzieje i podkradłem się lasem ku leśniczówce, kiedy nagle zobaczyłem ich. Idą całą gromadą. Pewnie sam pan Szporn wie gdzie ich tu. Może odkrył to wejście tajemne!

— Boże! Boże! Niech pan ucieka!

Ale obcy popatrzał na panią z wyrzutem.

— Nie obawiaj się Wojciechu, nic złego ani pani, ani mnie się nie stanie.

— Paniczu najdroższy! Tyle lat ja czekałem na panicza! — Stary pan przed śmiercią zdał mi tajemnicę i kazał mi tu czekać na panicza, aby w razie czego dać świadectwo prawdzie. I dziś nareszcie się doczekałem. Przyszedłeś paniczu Danielu i o! zbliża się chwila prawdy. Jakże ja nie mam bać się o ciebie.

— Uspokój się stary przyjacielu. Dziękuję ci za wierne serce i dobre słowa.

— Ale co panicz teraz zrobi ze sobą? Ich cała chmara idzie, a są bardzo rozsierzdzeni. — O, pan Szporn nie tracił czasu daremno i potrafił panicza w upór strasznego im wszystkim zamienić.

Obcy spojrzął na panią. Stała blada, wielkimi oczyma wpatrując się w niego, plecyma oparta o ścianę. Usta jej drgały jakimiś cichymi słowami.

Obejmując ją dobrymi oczyma, namyślał się przez chwilę.

— Wojciechu. — Istotnie chwila prawdy zbliża się i nie wiele nam czasu do przygotowania się na nią pozostaje. Niech zatem Wojciech idzie na zwiady i wypatrzy dobrze, ilu ich idzie, po co i czego chcą. Gdy będą już blisko, proszę wyprzedzić ich ścieżkami na przełaj, aby dać mi znać o wszystkim.

Wojciech ręce złożył jak do modlitwy, jakby o coś jeszcze chciał prosić. Już otworzył usta, aby przemówić, ale obcy dłoń położył mu na ramieniu i niemal rozkazującym głosem odpowiedział.

— Niech Wojciech uczyni to, o co proszę. Niema już teraz czasu na obawy.

Więc stary sługa rzucił raz jeden i drugi wypłowiałymi oczyma na panią i na Daniela i wyszedł z pokoju, by wypełnić polecenie.

Po jego wyjściu, na chwilę cisza zapadła.

Coraz więcej ptaków śpiewało na dzień do-

bry w sadzie, coraz czystsze i jaśniejsze powietrze zawiewało pokój i muskało ich twarze, a oni stali naprzeciw siebie i milczeli.

Po falujących silnie ich piersiach, poznać jednak było, jak wielkiem wzruszeniem oddychają oboje.

— Co teraz? — Przemówiła pani pierwsza.

— Twój sąd i wybór.

— Powinno odejść w ten świat, z któregoś ty tu przyszedł.

— Dlaczego?

— W tym domu mieszkałam bezprawnie.

— Ten dom jest moim. Tęskniłem do tego, byś w nim była panią.

— Byłam w nim paną, myśląc, że dom jest jego.

Ujął ją miękko za rękę i wpatrzył się głęboko w jej oczy.

— Marjo, pani, — słysz. Oto przeżywamy ostatnią chwilę tej nocy.

— ...tej dziwnej nocy. Poprawiła go.

— Tak, tej dziwnej nocy, do której ja całe lata tęskniłem, którą setkami nocy zaklinałem. Oto w kilku godzinach poznałaś życie i śmierć wielu osób, z których dwie przecież były ci najbliższymi.

— Mówiłeś prawdę. Czulałam, że były w tym pokoju.

— Obiecałem ci wyrwać tę noc z całego twego życia i zakłać w nią coś innego, co ci na zawsze pozostało, jako coś samo w sobie zakłute i zamknięte.

— Uczyniłeś to przecież.

— O nie, jeszcze nie uczyniłem. Otworzyłem ci tylko oczy na świat i życie, byś je zobaczyła innymi, aniżeli dotychczas oczyma. Opowiedziałem ci zdarzenia, które dotyczyły wprawdzie najbliższych ci osób, ale przecież mogły odnosić się do setki i tysiąca innych ludzi, obojętnych ci i dalekich. — Ale nie tylko o to mi przecież chodziło.

— Czy jeszcze masz mi coś powiedzieć?

— Marjo, Marjo, — rozumiem twój ból, ale pomyśl, że i ja cierpię.

— Ja nie wiem nic. Usunęła mi się ziemia, po której dotychczas chodziłam, z pod nóg.

— Mała, biedna pani. Posłuchaj do ostatka słów meich.

— Mój Danielu.

Pani piersi oddychały głęboko, bo coraz to inna fala zalewała je, coraz to inna myśl błyskała w jej głowie. Dokoła siebie chaos wciąż wzrastający czuła. Świadomość tylu nieszczęść, które nagle tej jednej nocy odkryły się przed jej oczyma, żal o straconych na darmo, oszukanych i wykpionych przez los lat, ból serca fałszywymi słowami zwiedzonego i rzuconego w wieczną pełną żalu i tęsknoty samotność, — mieszały się ze świeżymi, nowymi, poraż pierwszym w życiu zasłyszaniem słowami, które wypowiedziały usta nigdy dotąd niewidzianego człowieka.

Oto padała w proch zbudowana latami wiara w człowieka, którego mężem swym nazwała, — a powstawała nowa jakaś cześć, zapłoniona jeszcze i nieświadoma, ale pełna podziwu i ciekawości, ufność w tego przed kilkoma godzinami poznanego zaledwo oczyma człowieka.

Po usłyszeniu o tylu nieszczęściach i krzywdach i zbrodniach, które przez lata zaszyły i stały się dokoła niej, powinna przecież cierpieć teraz bardzo, a tymczasem... Tymczasem jej pieś nie tylko cierpieniem falowała.

Poczuła się nagle jakby przeniesioną w inny świat, na inną planetę, gdzie wprawdzie są te same przedmioty i ci sami ludzie, ale jakże innymi oczyma oglądani, jak innymi uszyszka słuchani.

Tymczasem Daniel wciąż trzymając jej rękę w swoich dłoniach, mówił, wiódł ją słowami swymi coraz dalej, do coraz innych obrazów. Słyszała dokładnie wszystkie słowa jego i już je doskonale rozumiała. Z jego paiców w dłoń jej i dalej, krwią w żyłach krążącą aż do piersi i serca, wlewał się spokój i jasność i dziwna, niezrozumiała żadnym sposobem rzewność.

— Już teraz pani zrozumiesz mnie napewno. Gdybyś miała słuchać mych słów, musiała przeżywać sama to co ci opowiedziałem, groziłaby ci fala zalewu brutalnego życia i mozebyś z pod niej nie zdolała się nigdy podźwignąć.

— Dobrze więc stało się, że ci Anna nie opowiedziała o śmierci Piotra, a Wilhelm i los zataił przed tobą o śmierci prawdziwej Anny.

(Ciąg dalszy nastąpi).